



KRZYSZTOF[®] BONK

HARRAEMID

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

HARREMID

cykl Pendorum

część VI

© Copyright by Krzysztof Bonk

Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-959-3

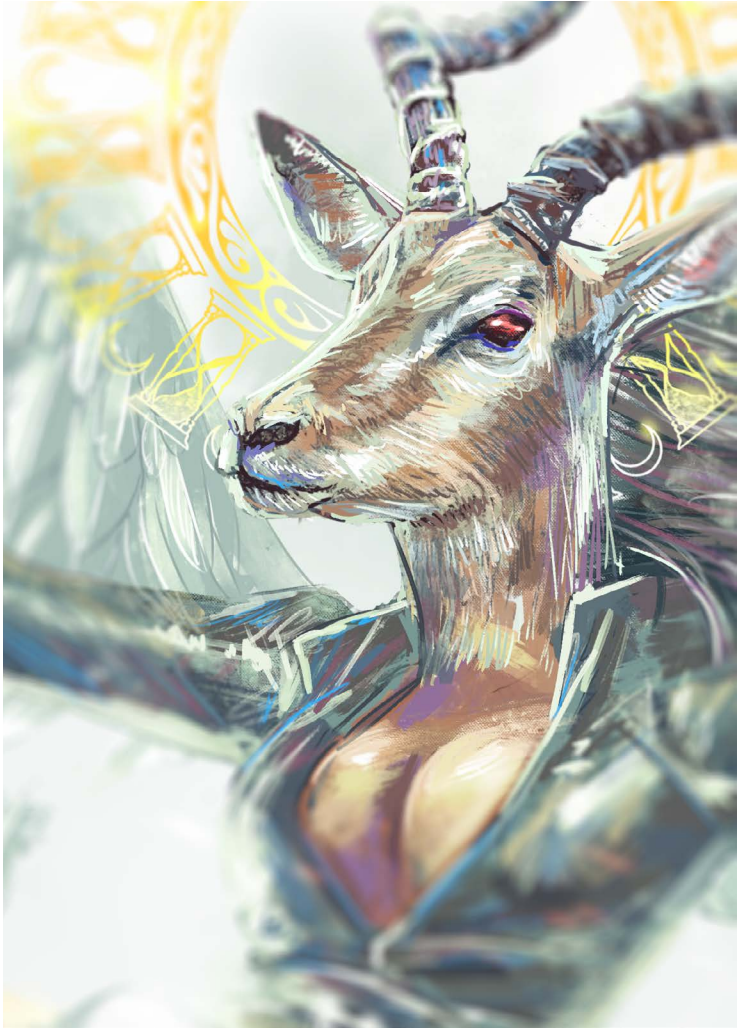
Wydawnictwo: self-publishing

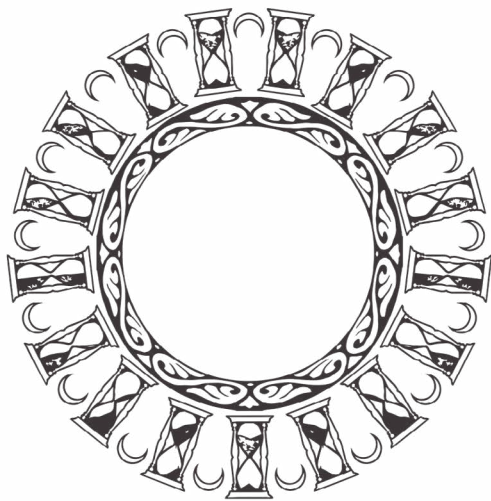
e-wydanie pierwsze 2018

Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione





I. W OTCHŁANI

Zgodnie z moim oczekiwaniem Viria dotrzymuje danego słowa. Jej okręt rzuca kotwicę w pobliżu brzegu Otchłani, gdzie w sercu tej krainy ma przebywać czarownik Gabu. Wodujemy dwie łodzie i niebawem schodzimy na suchy ląd. My, czyli ja, Viria, jak również kilku piratów oraz nieskrępowana już Nail.

Lecz uwalniam ją z więzów bynajmniej nie dlatego, iż wybaczam jej zabicie Atrix i mego nienarodzonego dziecka. Jedyne wychodzę z założenia, że tu, na tej przeklętej ziemi, i tak nie ma ona dokąd uciekać. A jeżeli spróbuje szczęścia samotnie, niech i tak będzie. Ale taki wybór niechybnie przyniesie jej śmierć. Obecnie ciągle myślę, że jak najbardziej zasłużoną śmierć. Jednak dopóki żyje, niech pokutuje.

– Ona to poniesie i to również. – Na kamienistej plaży wskazuję na Nail, a potem na wyciągane z łodzi skrzynie z prowiantem.

– Da radę to wszystko udźwignąć...? – pyta Viria.

– Musi.

– Musi...?

– Tak, ponieważ zabrałem ją na tę wyprawę, jako juczne zwierzę. Jest tu tylko dlatego.

– Tylko dlatego...? – wyraża wątpliwość kobieta. Przy-

gląda się z uznaniem sylwetce dziewczyny i sugeruje:
– Skoro ma status niewolnicy, co osobiście popieram, to nich służy też wieczorami swym ciałem moim kamratom. A może i ja się przy niej co nieco ogrzeję...

– Nic z tego – oznajmiam zdecydowanie. – Będzie nosić bagaże, zbierać chrust na opał oraz przygotowywać do spożycia upolowaną zwierzynę. To wszystko.

– Hmh... – mruczy bez przekonania Viria i drwiąco dorzucą: – Ciekawy zestaw, jak na juczne zwierzę... Ale jak tam sobie uważasz. W końcu ty tu dowodzisz...

– Właśnie – ucinam dalszą dyskusję i przesuвам nogą w kierunku Nail ciężkie, skórzane torby.

Dzień jest chłodny, w powietrzu przeważa wilgoć, a przestrzeń osnuwa gęsta niczym dym szara mgła. W takiej atmosferze kroczymy niezbyt długą kolumną pomiędzy ciernistymi zaroślami. Idę na czele razem z Virią. Za nami poruszają się trzy pary uzbrojonych po zęby piratów. Na końcu, trochę z tyłu z powodu dźwiganego ciężaru, sunie ociężałe Nail, z trudem dotrzymując nam kroku.

Przemieszczamy się w kierunku północnym, w milczeniu, aż w pewnym momencie wyłania się przed nami okazały szkielet jakiegoś potwora. Przyglądam się z respektem jego długim zębiskom i kościstym wyrostkom na bielejącej czaszce. Z kolei wokół jego racycy zauważam żelazne wnyki na łańcuchu. Viria ogniskuje na nich wzrok i kpiąco oświadcza:

– Doskonale. Teraz mam pewność, że jesteśmy na właściwej drodze.

– Więc to ma być... drogowskaz? – zapytuje zdziwiony, spoglądając ciągle na szkielet.

– Jakbyś zgadł... – Kobieta patrzy na mnie z wyższością. Następnie, jakby starając się przedrzeć wzrokiem przez mgłę, stwierdza: – Nieco dalej znajduje się obszerna polana. To będzie dobre miejsce na postój i nocleg.

– Nie za wcześnie na biesiadę? – wyrażam wątpliwość.

– Nie – rzuca ostro Viria. – Musimy się tu zaadoptować i zorientować, czy w pobliżu nie ma jakichś niemiłych niespodzianek. A przede wszystkim powinniśmy przeczekać tę podejrzaną mgłę. Nigdy nie wiadomo co się z niej może nagle wyłonić. – Rozgląda się z niechęcią i demonstrując skórzaną mapę w rękę, swobodnie kontynuuje: – Wraz z kolejnym dniem ruszymy wzdłuż strumienia, potem przemierzmy gęsty las i dotrzemy do rzeki.

– Dobrze znasz drogę?

– Jak najbardziej. I dlatego posłusznie dostosuj się do mojego przewodnictwa, przywódco... – Kobieta splotła na przegniłą trawę. – Rozumiesz? – dodaje.

– Niech tak będzie – oświadczam niechętnie, ale w duchu przyznaję, że na tym nieznanym mi terenie rozsądnie będzie oddać się pod przewodnictwo kogoś doświadczonego.

Na wspomnianej przez Virię polanie rozbijamy obóz i wystawiamy warty. Czterech ludzi na czterech stronach świata w niewielkiej odległości od siebie. Pozostała piątka wzniesła ognisko i solidarnie przygotowuje pożywienie. Wtedy sam wkraczam do akcji, cedząc cierpko przez zęby:

– Odpocznijcie. Ona wszystkim się zajmie. – Pokazuję ręką

na strudzoną Nail.

– Czemu nie – zgadza się bez oporu Vira i rzuca władczo do dziewczyny: – Narzuć na trawę derkę i przygotuj mi koc, zimno tu. – Rozciera ramiona. Natomiast Nail czyni wszystko zgodnie z rozkazem tym, jak i kolejnymi. Ja sam, rozgrzewając się przy właśnie wznieconym ognisku, jakby od niechcienia zapytuję:

– Ile czasu zajmie nam dotarcie do czarownika?

– Ile czasu...? – powtarza w zadumie Viria i jednocześnie bierze się za przegryzanie sucharów. – To zależy... – stwierdza i głośno chrupiąc, ciągnie dalej: – Jeżeli po drodze nie przydarzą nam się żadne wpadki, w co wątpię... to piesza droga zajęłaby kilka tygodni. Jednakże, jak znam życie i Otchłani... wkrótce ktoś, lub coś urozmaici nam naszą wyprawę. Ja zaś liczę, że w zwycięskiej konfrontacji z przyszłym przeciwnikiem uda nam się zdobyć konie... To jedyna szansa, aby względnie szybko i w miarę bezpiecznie pokonać ten niegościnniej teren.

– Czy możemy tu liczyć na jakichś sojuszników? – interesuję się.

– Phi! – parska na to Virai. – W Otchłani?! Chyba żartujesz... – kpi i wymachując nadgryzionym sucharem, z determinacją stwierdza: – Przygotuj się, że na nic tu zdadzą się kosztowności, czy piękne słowa, sugerujące nie zarządzanie się nawzajem w razie spotkania oko w oko z tubylcami. W tej przeklętej krainie liczy się przede wszystkim ostry, gotowy do użycia oręż. Jak również ludzkie zasoby... – Spogląda łagodnie na Nail i posypując jej okruchy z su-

charów, ucieszenie oznajmia: – cip, cip, cip... Smacznego moje ty juczne zwierzę... A niebawem może zwykła kuro niosko na sprzedaż...

*

Nazajutrz ruszamy prosto w górę strumienia. Na niewielkim wzniesieniu mijamy ślady dawnego obozowiska ze spróchniałymi zasiekami z zaostzonych pali. Potem nie niepokojeni przemierzamy ponury las, polanę i znowuż brniemy w leśnej gęstwinie. Aż pod wieczór docieram na otwarty teren, gdzie bystro płynie okazałych rozmiarów rzeka. Viria zatrzymuje się tutaj, a wtedy zadaję jej pytanie:

– Rozbijamy obozowisko?

– Nie – rzuca szorstko. – Przystanąłam tu tylko na chwilę, aby... pozdrowić przeszłość... – Wodzi wzrokiem po spienionych, wodnych kaskadach.

– Zatem niech będzie pozdrowiona – rzucam obojętnie zmęczonym głosem po całodziennej marszrucie.

– Tak, niech będzie pozdrowiona, jasne... – przytakuje kobieta. I już mamy ruszyć w dalszą drogę, kiedy to naprzeciw nas wyłania się liczna grupa jeźdźców w grubych futrach i na chudych, płowych rumakach.

– Broń w gotowości... – posykuje Viria. Sama kładzie dłonie na rękojęściach dziwnych przedmiotów za swoim grubym, czarnym pasem, okalających jej równie czarną spódnicę. Z kolei oddział przywódczyni piratów rozstawia się w równym szeregu, mając pośrodku samą Virię. Nieco z tyłu,

dopiero teraz, dochodzi do nas taszcząca pakunki Nail. Ja sam, odważnie, a może raczej głupio, czynię krok do przodu.

Niebawem jeźdźcy w liczbie około trzydziestu zatrzymują się tuż przed nami, a jeden z nich zeskakuje z rumaka. Ma białe, farbowane włosy wygolone do gołej skóry na skroniach, a pozostałe związane w długi warkocz. Mężczyzna ten jest dość młody i niezwykle postawny, a ponurą twarz zdobi mu wytatuowany na czole czarny krzyż. Za broń służą mu dwa toporki przy pasie oraz potężny topór przewieszony przez plecy.

Wydaje się on przywódcą prowadzonej przez siebie grupy i po jego chrapliwie wypowiedzianych słowach wychodzi na to, że rzeczywiście nim jest.

– Me imię to Zag. – Uderza się dumnie masywną pięścią w szeroki tors. – Jestem synem wielkiego Gronta z klanu Mroźnej Rzeki.

– Czyli synem trupa – rzuca wyzywająco Viria.

– Tak, mój ojciec odszedł ze świata żywych, a jego duch rozpląnął się w nicości... – Barbarzyńca mrozi kobietę nienawistnym wzrokiem i kładąc ręce na metalowych głowicach toporków, czyni zdecydowany krok naprzód. Na co zagraudzam mu drogę i z dumą oświadczam:

– Zwą mnie Avezan i jestem synem mitycznej Anrei.

W odpowiedzi na moją deklarację odnoszę wrażenie, że ciemne oczy barbarzyńcy wręcz rozpalają się wściekłym ogniem gorącej nienawiści. Zaś zza pleców dochodzi mnie rubaszny rechot Viri, a następnie jej drwiąco wypowiedzane słowa:

– Ha! Zdaje się, wypadaloby ci wiedziec, Avezanie, ze to wlasnie twoja matka pozbawila zycia, w taki czy inny sposob... wspomnianego tu Gronta, ha, ha!

Te slowa na moment wybijaja mnie z rownowagi i to wystarczy, abym dal sie gwałtownie uderzyc otwartymi dloniami w klatke piersiowa. Od siły ciosu barbarzyncy leca do tyłu wprost na piratów Viri. Ona sama odzyskuje powage, wychodzi przed szereg i ostro krzyczy do Zaga:

– Zamiast mscic sie za dawne, watpliwie krzywdy, proponuje, abyśmy ku obopólnemu dobru pohandlowali! Bo widze, ze nie macie ze soba kobiet! Za to my... – ucina zdanie, spoglada z ukosa na Nail i przyzywajac ja reka, drwia do niej gdaka: – Cip, cip, cip...

– Kimkolwiek jesteście... co chcecie za czarnowlosa o ciemnej skórze i czarnych oczach? – chrypi naraz rozochocony Zag i rozbiera Nail pozadliwym wzrokiem.

– Konie i swobodny przejazd – pada odpowiedz Viri.

– Dwa konie i przejazd – uścišla barbarzynca. – Tyle możemy dac.

– Dwa... – powtarza kobieta i kiwa mi twierdza glowa, dajac do zrozumienia, ze w dalsza droge udamy sie juz sami, za to na rumakach.

– Zatem mamy umowe – stwierdza raptownie Zag i podchodzi do Nail. Na co dziewczyna siarczyście spluwa mu w twarz i przyjmujc pozycje do walki wręcz: – Podobam sie – stwierdza z uznaniem barbarzynca. – Ma zimna dusze, ale goraca krew. Da mi silne dzieci!

– Nie da... – oznajmiam smętnie i chwytam Nail za

rękę. Przecież nie mogę jej sprzedać, jak rzeczy. Nawet gdybym chciał, po prostu nie mogę. – Nie mamy umowy, odejdźcie... – dodaje.

– Że co, że jak?! – chrypi raptem wielce oburzony Zag i wściekle świdruje mi oczy własnymi, to przenosi spojrzenie na swych ludzi, a potem Virię. Ta czyni kwaśny wyraz twarzy i wzrusza obojętnie ramionami. Następnie wyjmuje zza pasa dwa dziwne przedmioty i mierząc z nich do Zaga, lekceważąco oświadcza:

– Ach, ci młodzi i ich skryte przed światem uczucia... Cóż powiedzieć... Ciotka Viria przecież nie stanie na drodze wielkiej miłości! A skoro tak... – Nagle rozlega się w przestrzeni głośny, podwójny huk. Z dziur w parze przedmiotów trzymany przez kobietę unosi się szary dym. Natomiast Zag chwyta się za swą krwawiącą pierś. – Poznajcie moje zabawki, ostatni prezent od czarownika Gabu. Ponoć zwą się pistoletami i są doprawdy wystrzałowe! – Kobieta ostentacyjnie zdmuchuje unoszący się dym.

Z kolei Zag, któremu z ust cieknie strużka krwi, pada na kolana. Odwraca się do swoich oniemiałych z wrażenia ludzi i ostatkiem sił charczy do nich żałośnie:

– Zabić... Zabić ich wszystkich... Zanieść im śmierć.

Barbarzyńcy wahają się chwilę, aż jeden z nich wypuszcza z łuku strzałę, która trafia w szyję dzierżącego szablę pirata. Wraz z tym zdarzeniem, jak na komendę dwie grupy przeciwników zawzięcie skaczą sobie do gardeł.

Sam wyjmuję z pochew dwa krótkie ostrza, które lepiej

sprawdzają się w walce z licznym przeciwnikiem na krótki dystans. Podbiegam między konie barbarzyńców i siekam ich po udach, to dosięgam trzewi. Następnie cofam się, aby nie zostać samotnie osaczonym, a po moich bokach dostrzegam innych walczących, w tym piratów z szablami oraz Virię obecnie z tarczą i toporem.

Tymczasem liczniejsi przeciwnicy, choć w pierwszym momencie ponoszą większe straty, to widać, że są wprawieni w oboju. Nie tracą bowiem zimnej krwi i konno zagradzają nam drogę, zaganiając w kierunku bystrego nurtu rzeki. I nie mija wiele czasu, a jesteśmy półkołem okrążeni, mając za plecami wyłącznie wzburzoną wodę.

Przeto chowam krótkie ostrza i zdejmuję z pleców dwuręczny miecz, by wywijać nim zamasyżycie wprost w potężne łby rumaków. W ten sposób staram się wyciąć drogę i stworzyć wyłom w pół okręgu. Lecz raptem wymierzone zostają we mnie z końskich siodła miecze i topory.

Paruję kolejne ciosy własną klingą, aż mój miecz zaklinowuje się w zwarciu i przed śmiertelnym uderzeniem w głowę ratuje mnie czyjs topór skrzyżowany z obuchową bronią. Szybko rzucam spojrzenie przez ramię i dostrzegam, iż pomoc przychodzi od Viri. Jednakże kolejny cios młotem bojowym w mój tors sprawia, że zataczając się do tyłu, wpadam na kobietę i razem lecimy prosto do wzburzonej wody.

Od tego momentu rozpoczyna się zupełnie inna walka, a mianowicie ta z siłami bezwzględnej natury. Odrzucam miecz i rozpaczliwie przebieram rękoma, starając się cze-

gokolwiek chwycić. Jednak moje kończyny nieustannie trafiają jedynie w próżnię. Zaś wzrok jest ograniczony przez spienioną wodę. Co raz czuję tylko dotkliwe uderzenia w brzuch o twarde skały.

Aż naraz odnoszę przedziwne wrażenie, jakby rzeka nagle zmieniła kierunek swego nurtu w drugą stronę, a jednocześnie znacząco przyspieszyła. Z tą chwilą do moich uszu dochodzi także złowrogi szum, zdaje się wodospadu.

Dociera do mnie, że czas swobodnego spływania z nurtem właśnie dobiega końca i jeżeli zaraz nie zdołam się wykaraskać z wodnych odmętów, to spadnę w przepaść. Dlatego wręcz jak szalony zaczynam młócić rękoma i nogami, aby tylko w jakiś sposób przeciwstawić się kierunkowi rozpadzonej rzeki.

Zachłystuję się kilka razy lodowatą ciecżą, gdy wtem zostaję pochwycony silnie za dłoń i podciągnięty. Chwytam drugą ręką czyjejs kończyny i kolejny raz wypływając wodę z płuc, ze wszystkich sił staram się podciągnąć. Udaje mi się i to wystarcza, abym wyrwał się wreszcie z wodnej matni i wspierany przez kogoś, wypełznął na płaską, kamienną nawierzchnię.

Za chwilę leżę już na plecach, gwałtownie oddycham i spoglądam w poszarzałe niebo. A odzyskawszy nieco sił, z wdzięcznością bezwiednie szepczę:

– Nail... Nail... – Czuję na klatce piersiowej dłoń i przykrywam ją swoją, po czym z uczuciem powtarzam: – Przepraszam, Nail, przepraszam... – Aż do przytomności doprowadza mnie znanymi mi, zgrzytliwy, kobiecy głos:

– Nagle naprawdę pożałowałam, że nią nie jestem, Nail... Trzeba tak było od razu, że jest coś więcej dla ciebie warta. Wówczas zażądałabym za nią co najmniej czterech koni!

Na te szyderczo wypowiedziane słowa siadam gwałtownie i dostrzegam tuż koło siebie wyłącznie przemoczoną Virię. Kobieta przygląda mi się z kąśliwym uśmiechem, a ja wiodę rozbieganym wzrokiem po okolicy. Okazuje się, że znajdujemy się na samotnej skale na samym środku wielkiej, rwącej rzeki. Lecz to bynajmniej nie koniec kiepskich wiadomości. Oto na obu brzegach, w różnych miejscach, stoją całe dziesiątki barbarzyńców i przyglądają się nam.

– Witamy w Otchłani! – kwituje rezolutnie widok Viria, po czym wyjmuje zza paska pistolety i zde gustowana wylewa z okrągłych otworów strugi wody.

Spis treści

I. W OTCHŁANI	6
II. PARTNERKA	18
III. ROZKOSZNE ŁZY ANREI	35
IV. CZAROWNIK	42
V. NOWY KOMPAN	57
VI. KU PRZEPAŚCI	63
VII. HARREMI	82
VIII. MAŁŻEŃSKI WĘZEL	100